



°.* * *Abandonment*

Chłodna, morska bryza omiotła moją twarz, racząc płuca ostrym, acz najświeższym z możliwych powietrzem, którego zapach idealnie komponował się z wonią rozciągającego się za moimi plecami lasu. Przytykając do ust papierosa, zaciągnęłam się nim mocno, a gorzki posmak na języku wyrwał mnie z letargu, podobnie jak ciepłe, pulchne palce, które zacisnęły się na mojej bladej dłoni. Gniew spowodowany ostrą wymianą zdań, mającą miejsce przed chwilą, ulotnił się wraz z opuszczającymi wargi dymem, robiąc miejsce całkiem innemu, lecz równie przytłaczającemu uczuciu.

Smutek.

Przez stulecia zwykłam ukrywać go pod kurtyną pozornej wyniosłości i opryskliwości, otaczając swoje serce wyjątkowo solidnym murem i skrupulatnie cementując każde pojawiające się na jego powierzchni pęknięcie. Gniew był łatwiejszy do okiełznania. Surowa, ognista energia, którą wylewając na najbliższych, kreowałam zdrowy w moim mniemaniu dystans; zarówno dla nich, jak i dla mnie. W całym tym szaleństwie tylko jedna osoba potrafiła przyjąć na siebie każdy wyprowadzany przeze mnie cios, niczym rozciągające się przed nami, zatopione w oceanicznej toni skały, z którymi raz po raz zderzały się potężne fale, wymywając je i zabierając ze sobą ich cząstkę.

Zjawisko to idealnie odwzorowywało naturę mojej relacji z Hildegardą, którą mylnie uważałam za jedyną stałą w moim życiu. *Mylnie*, bo w ten sam sposób postrzegałam również Edwarda, którego bezlitosne szpony śmierci wyrwały z mych ramion, a jego ciało po dziś dzień spoczywało w mrocznych głębinach, poza czymkolwiek zasięgiem.

— *Zelds, ja nie umieram, tylko wychodzę za mąż...*

Nienawidziłam tego tonu. Łagodnego, ostrożnego, będącego próbą zapewnienia mnie o czymś, czego tak naprawdę nie mogła mi w stu procentach zagwarantować. Wizja sielankowego życia w związku małżeńskim już raz wystarczająco zamydliła mi oczy, aby w pełni uzasadnić odczuwany lęk. I ja sądziłam, że poślubienie Faustusa niczego nie zmieni. Egzystowałam w przekonaniu, iż nadal będę mogła spędzać każdą wolną chwilę ze swoją rodziną, rozsądnie dzieląc ten czas pomiędzy nich i opiekę nad moim małym pasierbem, Judasem. Los szybko zweryfikował utopijne wizje.

Uważaj o co prosisz, bo możesz to dostać, ale niekoniecznie w takiej formie, jakiej pragniesz.

Przekonałam się o tym w chwili, gdy jeden ruch ze strony mojego małżonka znacząco odsunął mnie od rodziny, aby finalnie uczynić z tworu, którym się stałam, potencjalne dla niej zagrożenie. Wciąż milcząc, po

raz kolejny zaciągnęłam się papierosem, świadomie unikając spojrzenia Hildy. Wstyd ujął mnie w swoje pazury, zdzierając kolejne warstwy wyuczonych nieugiętości. **Byłam egoistką.** Przez stulecia znęcałam się nad nią, choć jak najbardziej zszargać jej samoocenę, aż w końcu osiągnęłam swój cel. Wygrana nie była jednak tak rozkoszna, jak mogłabym oczekiwać. Roztrzaskanie psychiki własnej siostry przyniosło jedynie ból i jeszcze większe obrzydzenie do siebie samej.

Wiedziałam, że postępuję źle. Każdego dnia ścierałam się z konsekwencjami swoich czynów, niekiedy tak brutalnych, iż na samo ich wspomnienie wzdrygnęłam się i otulając szczelnie czarnym futrem udałam, że jest to jedynie efekt wszechobecnego chłodu. W swym pierwotnym zamiśle owe brutalne działanie nie miało jej zniszczyć. Nie w prosty sposób. Pragnęłam zaszczepić w jej umyśle świadomość, że nikt nigdy jej nie pokocha, nikt nie wytrwa u jej boku na dłużej. **Nie tak jak ja.**

Moimi czynami powodował lęk. Niczym nowotwór, zżerał mnie bezlitośnie od środka za każdym razem, gdy w głowie pojawiała się myśl, że któregoś dnia i ona miałaby zniknąć z mojego życia; zacząć własne, bez złośliwej, wiecznie szydzącej z niej siostry. I to działo się teraz.

Cerberus był mężczyzną, który w pełni zasługiwał na Hildę. Troskliwy, opiekuńczy. Roztaczał wokół siebie pełną ciepła aurę, podobnie jak ona. Nie byłam w stanie tego znieść - szczęścia emanującego z nich na każdym kroku, przenikającego wszystko dookoła, zatrzymującego się jednak na niewidzialnej aurze smutku i rozgoryczenia, które wokół siebie roztaczałam. Miałam świadomość, że podobny scenariusz miał również swoje odniesienie w kwestii relacji mojej i Marie, bo choć byłam w stanie stonować swoje afekty, tak Kapłanka Voodoo niekoniecznie.

Hilda potrafiła cieszyć się moim szczęściem, wspierać mnie w nim i podsycać tę irracjonalną radość, która towarzyszyła obecności LaFleur. Nie umiałam odwzajemnić tego uczucia. Skrzek mewy wybił mnie z ciągu myśli, powodujących coraz większą moją posępność. Uniosłam głowę, wpatrując się w zasnutą chmurami niebo. Kiedyś spędzaliśmy w tym miejscu każdy wolny od Akademii Sztuk Niewidzialnych dzień. Ja, Edward i mała Hilda, która wówczas nie była jeszcze pełnoprawną członkinią Kościoła Nocy. Pamiętałam jak zakrywałam uszy tej drobnej, przerażonej rykiem oceanicznych fal dziewczynce, zaciskającej kurczowo palce na mojej sukience. Głaskałam ją po blond czuprynie szepcząc, że nie ma się czego bać.

Życie obfituje w znacznie bardziej przerażające zjawiska, Hildie. Natura jest najbardziej pierwotnym, a zatem nie musisz się jej obawiać.

Czerwone wargi wykrzywił grymas, który przypominał formujący się w bólach uśmiech. *To tutaj nauczyłam Cię stawiać czoła Twoim pierwszym lękom. I to tutaj, w przeddzień Twojego ślubu, ja muszę stawić czoła swojemu.* Moja głowa opadła na ramię siostry, zaś gardło ścisnął żal, zmanifestowany pod postacią łez, które skryłam pod rudymi, opadającymi na twarz lokami. Dłoń Hildy momentalnie spoczęła na nich, delikatnie gładząc je w matczynym geście.

— **Wiem, Hildie.** — przyznałam cicho, jednak wiedziałam, że to usłyszysz.

Wiedziałam też, że w tym właśnie miejscu, pod powierzchnią wzburzonych, pieniających ciemną wodę fal, pochowam kolejną z części swojej duszy. Chciałam wierzyć, że nim przyjdzie mi pożegnać ostatnią, Hekate wezwie mnie do swojego królestwa; tam, gdzie poczucie porzucenia nie będzie istniało.